TYGODNIK POZNAŃSKI

PISMO NAUKOWO-LITERACKIE.

Nr 38. POZNAŃ dnia 19 Września. **1862.**

„Tygodnik Poznański" wychodzi co tydzień w Piątek. Abonament kwartalny wynosi w Poznaniu dla miejscowych 1 talar; dla zamiejscowych w Prasach na poczcie i w księgarniach: 1¼ tal.; w Austryi na poczcie 2 fl. 5 kr. w. a., w księgarniach 2 fl. śrb.; w Królestwie Polskiem i w Rosyi na poczcie i w księgarniach 1 rub. 58 kop. śrb.; we Francyi 5 franków; w Redakcyi 1¼ tal., albo 2 fl. 50 kr. w. a., za które prenumeratorom numera co tydzień do najbliższéj stacyi pocztowéj franko nadsyłane będą. Redakcya przyjmuje wszelkie listy i nadsyłki frankowane pod adresem podpisanego redaktora.

Kobieta w powieści i kobieta w życiu:

kartki luźne z teki

JANA ZACHARJASIEWICZA.

(Ciąg dalszy).

III. PERŁY W BŁOCIE.

Dawniéj lubili pisarze nos do góry zadzierać i nie oglądali się nigdy poza siebie. Najulubieńszym ich przybytkiem były zamki i pałace. A chociaż w istocie trudno im było tam się dostać in persona, cisnęli się jednak w fantazyi swéj do tych złoconych podwoi. Wierszem i prozą opiewali rozkosze zamków i pałaców, malowali ich różne przygody i szlachetne intrygi. Nastąpiła reakcya. Zwrócono się do ubóstwa i nędzy i tam szukano owych dusz pięknych, które jak gwiazdy przyświecać mają całéj ludzkości. W zamkach i dworach popełniały się tylko same zbrodnie, wprowadzano je do Powieści jako kolor czarny dla uwydatnienia światła.

Ubóstwo jednak ma drogi zbyt proste i tych nawet nie jest tak wiele. Ewangeliczna prostota ubóstwa niedostarcza powieści zbyt wiele nowych sytuacyi. Są tam łzy i cierpienia, jest śmierć cicha na barłogu i grób samotny. W kilku latach zużyto koloryt i rysunek nędzy i przytępiono zmysły czytających. Potrzeba było nowych przedmiotów dla Powieści. Zaczęto je szukać w kloakach społeczeństwa, na śmiecisku życia ludzkiego. Ale to, co tam znaleziono rzeczywiście, nie było tak zbyt ciekawem, ani nie mogło przy najjaskrawszym kolorycie stanowić na czas dłuższy przedmiotu Powieści. Potrzeba więc było zrobić te przedmioty drastycznemi, a czytelnikowi przez mocny kontrast światła z cieniem zrobić niejako niespodziankę.

Autorowie, którzy pierwotną szatę giermków zamkowych zmienili na opończę ubóstwa, przywdziali teraz łachmany gałganiarza, wzięli putnią na barki i kopacz do ręki i w noc ciemną z latarką wymykają się z domów, aby na śmieciu i w kloakach szukać pereł najczystszéj wody. Znajdują oni tam nietknięte zgnilizną lamy, sztuki prawdziwego brokatu, a często złoto i dyamenty. Powiadają oni, że te wszystkie drogie rzeczy mogą bezpiecznie przez czas długi walać się na dnie kloaki, a przecież są czyste i tak kosztowne, jakby przez ten czas leżały w axamitnym futerale u jubilera za oknem kryształowym.

Prześlicznie to wszystko wygląda w Powieści i Melodramacie, ale w życiu rzeczywistem inaczéj o tem sądzi prosty rozum. Nie wszystkie cnoty ludzkie są szczerem złotem, a to z téj prostéj przyczyny, że są ludzkie. Są czasem kompozycye, a często gęsto napotkać się można z imitacyą. Należy więc je zdala od kwasów trzymać, inaczéj szczernieją i będą czarne, choćby autor w epilogu jak najgłośniéj wołał, że ani rdzy, ani plam na nich nie ma. — Przeciwnie autor powinien wołać: Cnoty ludzkie są słabe i kruche, strzeżcie się zetknąć się z tem złem, co je wala i plami, bo barwa cnot ludzkich jestto biały, wiosenny pyłek, który raz starty, już niczem innem nie da się zastąpić.

Przypomnieć tu jeszcze muszę, że głównie kobietę mam na widoku. Pod tym względem ogromna między kobietą a mężczyzną jest, a raczéj ma być, różnica. Podczas gdy mężczyzna w przebiegu życia może ocierać się o pewne moralne brzydoty bez szwanku, kobiecie niewolno jest dotknąć się téj brzydoty, ani z blizka do niéj przystąpić. Szata kobiety, w któréj przez życie przechodzi, jest z tak subtelnéj, śnieżnéj bieli utkana, że musi ją chronić od każdego ciemniejszego koloru. Jest-to słoneczna szata aniołów, w któréj niewolno im zniżać się do wyziewów ziemi. A jeżeli autor uświęci dogmat, że biała szata i na śmiecisku życia zostanie białą, ileż to postaci wylazłoby ku nam z tego śmieciska, wystrojonych w biały, sztuczny blichtr i zawołałoby chórem: Miejsca w społeczeństwie, miejsca przyzwoitego, bo szaty nasze białe jak śnieg; myśmy ich nie skalały, choć byłyśmy na śmiecisku! . . .

Dumas młodszy, który za szczególne zadanie wziął sobie wprowadzać w Powieść takie postacie, nazwany jest dowcipnie od swoich kolegów: Blanchisseur des grisettes.

Spróbójmy naszkicowania takiego obrazku, wedle wszelkich prawideł autorów, szukających pereł w błocie.

Judyta miała wzrost słuszny, rysy twarzy greckie, włos czarny i duże szafirowe oczy. Tak wyposażona dziewczyna była już stworzona na bohaterkę. A gdy jeszcze do tego dodamy, iż była ubogą, że właśnie co straciła ojca, biednego urzędnika z izby obrachunkowéj i że nie miała nawet z czego kilka dni się utrzymać, będzie już sytuacya dosyć zawikłana.

Prostaczek mógłby się tu uśmiechnąć i powiedzieć, że wcale nie widzi zawikłanéj sytuacyi biednéj sieroty.

Judyta bowiem może w mały węzełek związać swoje manatki i oglądnąć się za poczciwym kawałkiem chleba lub za służbą. Ba! gdyby Judyta tak zrobiła, nie byłoby Powieści!

Fatalnem bowiem zrządzeniem losu było dla Judyty, że w niéj się kochał pan Albin, jasnowłosy młodzieniec o dużych en poëte zaczesanych włosach. Pan Albin był mniéj niżeli najniższym urzędnikiem izby obrachunkowéj; był on tak zwanym diurnistą, czyli pisarzem dziennie płatnym. Płaca takiego biednego piórowego wyrobnika jest nader skromna i niewystarcza nawet na całe buty. Jakże okropne musi być położenie takiego nędzarza, jeźli prócz siebie samego musi on jeszcze starać się o wyżywienie matki i dwóch ciotek!

Ale pan Albin nienależał do ludzi zwyczajnych. Umiał on znosić głód i chłód, i nietylko, że dotąd był z siebie i z dwóch ciotek dosyć zadowolony, ale zapragnął nawet czwartéj towarzyszki życia, jak to pewnéj niedzieli popołudniu matce i ciotkom opowiedział.

Krzyk przestrachu rozległ się po ubogiem poddaszu. Najprzód wzięły ciotki tę sprawę pod rozwagę i zgodziły się poraz pierwszy w życiu, że Albin żenić się niepowinien. Najprzód, że dzisiejsze panny ani szeląga nie są warte; powtóre, że panna Judyta nigdy z miłości za niego nie pójdzie, tylko dybie na jego grosz gorzko zapracowany. Zresztą i w tem się zgodziły, że powodem tych głupich myśli pana Albina jest zalotność Judyty, która szafirowemi swemi oczami umie mężczyzn czarować, tak jak to czyniła starsza jéj siostra, póki tragiczna śmierć nie położyła końca haniebnemu jéj życiu. —

Albin, rozumie się, nie dał się zbić z konceptu, a uderzywszy ręką o stół, wypowiedział wszystkim trzem kobietom głosem stanowczym, że Judyta musi być jego żoną, bo bez niéj ani żyć, ani w izbie obrachunkowéj daléj pisać nie może.

Niewiasty mocno się tem zasmuciły, a biedna matka zrobiła zaraz na drugi dzień spostrzeżenie, że cała ta sprawa wielkiem grozi niebezpieczeństwem. Więc rada w radę, co tu robić, aby od Albina te czary odpędzić, które najprawdopodobniéj mogły go w krótkim czasie wypędzić z urzędu.

Ponieważ Albin nic sobie powiedzieć nie dał, tylko jak sum chodził i strasznie medytował, postanowiono więc wpłynąć w jaki sposób na Judytę, aby z niedowarzonym młodzieńcem zerwała swe miłostki. I tem raźniéj musiano się brać do dzieła, bo jedna z ciotek straszne zrobiła odkrycie, że Albin w melancholii swojéj — wiersze składa! A treść tych wierszy jeszcze bardziéj je zatrwożyła. Albin bowiem pisał:

Judyto, twoje ogniste pocałunki
Mogą mi mój chleb zrabować!...
Buchhalter odrzuca moje rachunki,
Powiada, że nie umiem rachować!
W głowie coś się miesza pono
Tak przy pracy, jak w zabawie —
Jeźli nie będziesz moją żoną,
Utopię się w stawie! .....
Utopię się, jeźli przy Boga protekcyi
Nie będziesz moją żoną, a ja szefem sekcyi.

Wiersz ten tragiczny okropne zrobił na niewiastach wrażenie. Przystąpiono natychmiast do dzieła. Jedna z ciotek, panna sześćdziesiątletnia, napisała imienien matki Albina list do Judyty téj treści:

... „Do serca, które kocha, przemawiam. Najszlachetniejsze uczucia Pani dla mego syna mogą stać się przyczyną wielkiego nieszczęścia całéj rodziny. Gdyby rodzina była bogata, dzień dzisiejszy zastałby cię w jéj gronie, otoczoną pieszczotami i komfortem, na jaki zasługuje twa dusza szlachetna, która Albinka mego tak gorąco pokochała. Ale rodzina biedna, żywiona krwawą pracą Albina, cóż Ci ofiarować może za twoje poświęcenie się, o Pani! Głód i nędza u nas — a wiesz Pani, co z miłości staje się, gdy nędza w domu? Oto piekło i jeszcze raz piekło. Nędzarz i ubogi powinien się zrzec tego błogiego uczucia, bo ono u niego zamienia się na męki i boleści!... Wierzaj doświadczeniu i niechcij zgubić siebie, Albina wraz z matką, ciocię Eulalię i ciocię Blandynę!... Wszystkie błagamy cię, wyperswaduj Albinowi głupstwo jego etc., etc."

Na to króciutko odpisała Judyta:

„Wiem, co nędza i ubóstwo; wiem, czem one być mogą dla miłości. Ale ja mam hart duszy i stałość żelazną. Nie proszę was o komfort, ani o wygody — ale proszę was o pieszczotę i o mały kącik na poddaszu waszem, gdziebym przy Albinie mogła zjeść kawałek suchego chleba etc., etc."

Taka odpowiedź Judyty wymagała silniejszych środków. Kobiety radziły długo nad tem, wreszcie napisała ciocia Blandyna list wtóry, który silniéj miał działać na mocne nerwy Judyty. List był mniéj więcéj téj treści:

.... „Poczwaro! wyrzutko ludzkości! I ty śmiałaś podnieść oczy na Albinka? Czy ty nie wiesz, czem była twoje matka, czem była starsza siostra twoja? Ojciec poszedł przez was do grobu!... I ty śmiesz jeszcze brać na siebie maskę cnotliwéj dziewczyny, ty, która już z takiego rodu jesteś!... Czyż to nie wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi?... Przez jedno okno kokietujesz sierzanta od żandarmów, w drugiem rozmawiasz się na migi z subjektem aptekarskim, a przez trzecie zaglądasz na mego Albinka! ... Ale nic z tego nie będzie! Albinek nie dla ciebie, podła poczwaro; — nie da ci zrobić parawanu z siebie dla niecnych praktyk twoich! .... etc."

I to lekarstwo skutkowało. Biedna sierota siedziała właśnie w ubogiéj izdebce swojéj, którą za kilka dni opuścić musiała, gdy ten list nadszedł do niéj miejską pocztą. Osłupiałym wzrokiem wodziła długo po fatalnym papierze, czytała i czytała, i zdawało się jéj, że nie może tego wszystkiego na raz pojąć i zrozumieć. Wreszcie rzuciła list na ziemię, wstała i wyprostowała się. Była ona zachwycająca w téj królewskiéj postawie dumnéj, obrażonéj kobiety. Pulsa jéj biły tętnem przyspieszonem, serce stukało głośno, jakby tę piękną pierś rozbić i zdruzgotać chciało. Gdyby ciocia Blandyna była w téj chwili ujrzała te twarz gorejącą, te postać królewską, te czarne krucze włosy, bezładnie w tył rzucone, byłaby do nóg jéj upadła i ze łzami błagała przebaczenia!..... Ale w téj chwili tylko Bóg patrzał na biedną, opuszczoną sierotę i zesłał jéj z nieba anioła-stróża, któryby ją prowadził przez kręte ścieżki żywota....

Judyta odetchnęła po chwili głębokiem westnieniem, z jéj pięknych szafirowych oczu wytrysnął potok łez. Lżéj się zrobiło ubogiéj dziewczynie, a cicha myśl rezygnacyi zaświtała na jéj czole, jak jutrzenka pokoju. — Postanowiła wyrzec się serca Albina, choć go nad ży-

cie kochała — postanowiła ludziom i światu zrobić najwznioślejszą ofiarę z uczuć swoich, jakiéj kiedykolwiek kobieta zdolną była!...

I dobrze postanowiła uboga dziewczyna. Cóż bowiem mogła innego uczynić? Żywot matki i przygody starszéj siostry owionęły ją zgniłą atmorferą opinii bezwzględnéj, ona nie mogła w przeświadczeniu czystości swéj duszy śmiało podnieść oczu do świata, bo to, o czem w liście wspomniała ciocia Blandyna, było niestety prawdą rzeczywistą! Trudno jednak było wmówić w ten zły, uprzedzony świat, że przykład matki i siostry nie działał szkodliwie na jéj duszę dziewiczą, że przeciwnie wzbudził w niéj odrazę i pogardę dla występku i już w zaraniu zahartował ją na wszelkie późniejsze burze. .... Tego wszystkiego świat nie wiedział, nie pojmował, sądził tylko jak sądzi wzrok powszedni — i potępiał ją!... Jeden Albin mógł tylko temu niewierzyć — ale on był już dla niéj stracony! Zresztą on był tak biedny, i pocóż obciążać młodego człowieka, pocóż zatruwać mu życie nowemi ciężarami? Jéj bystrzejszy wzrok widział, że po niejakim czasie, prędzéj czy późniéj, będzie ona mu ciężarem! Nie, ona wolała zerwać tu dopiero co rozwinięty kwiat miłości, zasuszyć go w sercu i wynieść z sobą na nieznane, dalekie drogi żywota, jako jedyną żadnem rozczarowaniem nietkniętą relikwię świętą!...

Siadła więc do stolika i napisała list do Albina w najoględniejszych wyrazach, aby duszy jego nie zabić. Starannie także powycierała ślady łez, które na ten list padały, gdy go pisała. Byłto zaiste wielki moment; uboga sierota czyniła w téj chwili ofiarę z wszystkiego, co posiadała na téj ziemi, prócz grobów ojca, matki i siostry nieszczęśliwéj!...

Ale białowłosy Albin, mimo swego napozór limfatycznego usposobienia, był człowiekiem woli nieugiętéj. Co mu raz do głowy zajechało, tego niechciał się tak łatwo pozbyć. W pierwszym nacisku rozpaczy, dowiedziawszy się o konszachtach ciocinek, podniósł rękę na ciocię Blandynę i niżéj lewego oka nabił jéj guza. Może nawet na matkę byłby się targnął, gdyby ta zawczasu niebyła za stół się skryła. Cioci Eulalii szczęściem nie było w domu.

Albin rozpaczał i odgrażał się nawet swemu szefowi sekcyi wybić duży, przodowy ząb, jeźli go przynajmniéj na trzy dni od rachunków nie uwolni, póki z Judytą i z ciosią Blandyną należycie się nieobrachuje.

Judyta z przestrachem spostrzegła rozpacz kochanka; jako kobieta uczuła nawet pewną radość, widząc, jak gorąco była kochaną, ale postanowienie jéj było silne i niezłomne. Połykała łzy gorzkie, cisnęła pierś, aby nie pękła z bólu, a nieszczęśliwemu Albinowi okazała spokojną, posągową twarz ofiary..... Ale Albina drażnił tylko ten spokój, zaciskał pięści i przysięgał na wszystkie bogi, że śmierć sobie zada i cioci Blandynie resztę spruchniałych zębów wybije!...

Judyta poznała, że niedosyć jest zrobić z siebie ofiarę. Potrzeba jeszcze było pomyśleć nad środkami, ażeby biednego Albina od rozpaczy i samobójstwa ratować. —

Na szczęście przyszła właśnie jéj przyjaciółka, szwaczka od modniarki.

— Hermino, ratuj mnie! zawołała śród łez Judyta, rzucając się jéj na szyję — ratuj Albina.

Opowiedziała jéj całe zdarzenie i wszystkie swoje projekta. Hermina myślała chwilkę, ruszyła głową to w tę, to w ową stronę i wreszcie rzekła do niéj:

— Wprawdzie trudno tu radzić, ale przecież radzić jakoś potrzeba. Albin cię kocha szalenie, a jeźli w swojéj dla niego ofierze chcesz wytrwać, to można się najgorszych dla Albina rzeczy obawiać. Kochanek taki jak Albin, tem goręcéj kocha, im więcéj przeszkód w drodze mu stawa. Wkońcu przyjdzie do szału, a wtedy....

— Nie kończ, przerwała Judyta, jabym go nieprzeżyła!

— No, to trzeba coś stanowczego zrobić, mówiła daléj powiernica.

— Radź, radź — a wszystko zrobię!

— Taki jak Albin kochanek, cedziła zwolna przyjaciółka, nie da się niczem odstraszyć, ani odżegnać. Jest tylko jeden sposób na to. Ale nie wiem, czy na to przystaniesz —

— Mów tylko, mów prędzéj —

— Albina można tylko uleczyć, wzbudziwszy w nim pogardę.

— Pogardę! krzyknęła Judyta; pogardę dla téj, która go nad życie kocha!... Czyż Albin mógłby mną pogardzać?...

Hermina czekała chwilkę, aż się biedna sierota uspokoiła, a potem mówiła daléj:

— Jeżeli Albina tak kochasz, że dla niego ofiarowałaś własne swoje szczęście, to niechże twoja ofiara będzie zupełną. Nigdy nic mądrego nie zrobisz, jeźli się w półdrogi zatrzymasz. —

— Ach ja nieszczęśliwa! Cóż ty żądasz odemnie! zawodziła Judyta.

— Udaj, że się kochasz w drugim! zimno odparła Hermina.

Judyta wzdrygnęła się, podniosła głowę do góry i z dumą królewską rzekła:

— Ja to mam uczynić?... Hermino, ty bredzisz, ty nie wiesz, co mówisz!...

Duże, jasne dwie łzy zaświeciły się w oczach biednéj sieroty. Ona kochała Albina nad życie, ona miałaby teraz udać, że kocha kogo innego i tym sposobem wzbudzić w nim pogardę!... O nie, nigdy!...

Hermina zostawiła ją we łzach. Jéj rada źle była przyjęta. Biedna sierota płakała całą noc. Wstawszy rano, miała twarz nadzwyczaj bladą, oczy zapuchnięte. Przyszedł gospodarz i zażądał płacy za pomieszkanie. Judyta pobiegła na grób ojca i matki, wróciła smutna i zapłakana — umarli żadnéj nie dali jéj rady. Do tego szalał Albin i groził prochem siebie w powietrze wysadzić! Potrzeba było coś zrobić, coś prędko zrobić. — Judyta poszła do Herminy.

Hermina spokojnie i ozięble ją przyjęła.

— Powtórz mi to, coś mi wczoraj radziła, mówiła do niéj Judyta.

— O czem to było? Nieprzypominam sobie, obojętnie odpowiedziała przyjaciółka.

— Mówiłaś mi o środkach uratowania Albina od rozpaczy.

— Aha!... Otóż praktyczna moja rada jest wziąść sobie pierwszego lepszego kochanka, nie taić się z tem przed nim, a on, który jest tak excentryczny — uleczy się. Okaże ci pogardę i uspokoi się!

— Nie znam nikogo... doprawdy...

— Pierwszego lepszego..... naprzykład — wszak

znasz asystenta od komisaryatu wojskowego — pana Sznipsa? ....

— Coś trochę... mieszka, zdaje mi się, naprzeciwko... ale...

— Nic, żadne ale — idź, korzystaj z kilku dni, które jeszcze gospodarz ci zostawia — twoje okno wychodzi wprost na jego okno — on o trzeciéj po południu zazwyczaj wraca z kancelaryi.... Za trzy dni, ręczę ci, że Albina wykurujesz — nie będzie się ani topił, ani strzelał, a że ci swoją pogardę okaże — cóż ci to zawadzać będzie?

Judyta spuściła głowę, połknęła kilka łez i pożegnała przyjaciółkę.

Za trzy dni pisał Albin do niéj:

— „Judyto! Ty w snach moich zrosłać się z życiem mojem, ja ciebie postradać nie mogę. Gdybyś nawet okazała się niegodną uczucia mego, gdyby nawet to wszystko prawdą było, co mi nasz registrator wczoraj mówił, gdybyś nawet spodliła się do ohydnego wiarołomstwa, ja sam sobie fałsz zadam, nic nie będę widział i słyszał — bo bez ciebie żyć nie mogę. Powiem, że to złudzenie zmysłów moich, to być nie może, żebym Judytą pogardzał!... Więc legnę, jak lew rozżarty, u bramy twojéj opinii, a biada nędznikowi, któryby się poważył sięgnąć po mój skarb — biada i tobie!..."

Za dwa dni odebrała Hermina od asystenta komisaryatu wojskowego list téj treści:

— „Nieoceniona Herminko! — Twoja Judyta jest wyborne pieścidełko! Zdumiałem się, patrząc na te przecudne kształty i nieżałowałem wcale złotéj broszki, którą sobie w sklepie wzięłaś, a za którą dotąd niezapłaciłem. Ale nieszczęście wielkie stało się Herminko! Dzisiaj rano opadł mnie jakiś p. Albin, złamał mi obojczyk i chrząstkę w nosie nadwerężył, a doktor powiada, że i za sześć tygodni niewyliczę się. Niech cię więc djabli porwą z twoją Judytą i z moją broszką — pożegnaj Judytę i powiedz jéj, że drugi raz nie chcę wpaść w ręce tego p. Albina. Twój przyjaciel Sznips."

Przez kilka dni była Judyta mocno cierpiąca. — Biedna sierota wznosiła oczy do nieba i wyglądała litości, ale napróżno. Pan Albin szalał i szalał i powiedział jéj stanowczo, że każdemu kości połamie i jéj naostatku kark skręci, jeźli miłości swojéj inaczéj nie będzie mógł zakończyć. A tu znikąd nadziei, żadnych widoków, tylko rozpacz i prawdopodobne samobójstwo biednego Albina!..... Biedna sierota uczyniła jeden krok, wypadało iść daléj, aby Albina ratować. Potrzeba było do szczętu siebie poświęcić. Niebo nieprzyjmuje pół-ofiary! —

Za kilka dni nadszedł list cudnie woniejący. Judyta czytała.

.... „Pani! Dowiedziałem się o smutnem położeniu Pani. Wszyscy, którzy cię kochali, obumarli cię, nie masz znikąd pomocy i żadnéj nadziei! Gospodarz wymawia ci izdebkę, sługa opuściła cię. Dla młodéj osoby, która świata nie zna, jest to los okropny! Pozwól więc Pani wypełnić mi dobry uczynek, niech serce moje uraduje się choć raz w życiu tem czystem uczuciem, jakiego tak rzadko doznawają bogaci! Jestem bogatym, a to co czynię, nie jest jałmużną! Jam to jest żebrak, który żebrzę, obyś przyjęciem mojéj pomocy pozwoliła mi doznać rozkoszy dobrego uczynku. Z poważaniem Filipson."

Gdy Judyta podpis przeczytała, wzdrygnęła się i list rzuciła na ziemię. Twarz jéj rozogniła się, oczy się zaiskrzyły. Był to ów nędznik, który jéj siostrę do grobu zapędził, syn bogatego bankiera.

Długo siedziała Judyta w osłupieniu. Jéj twarz grała najjaskrawszemi kolorami, jéj oko ciskało pioruny. Często kurczowo załamywała ręce i podnosiła oczy ku Niebu, ku Ojcu wszystkich sierót na ziemi!...

Nagle wstrzymała oddech, jakaś myśl wpadła jéj do duszy. Powoli rozjaśniała się jéj twarz, jakiś uśmiech okropny zaczął igrać wkoło jéj ust złośliwie zaciśnionych, wreszcie powstała i rzekła do siebie:

— Nie wiem, czy dobry, czy zły duch podał mi tę myśl straszliwą — ale myśl dobra — i jedyna dzisiaj dla mnie! Okropna zemsta dla nędznika, a dla Albina ratunek!

Nazajutrz zajechała doroszka przed dom, w którym mieszkała Judyta. Uboga sierota z małem zawiniątkiem pod pachą i z portretem ojca w ręku siadła do dorożki i odjechała na Zamkową ulicę, gdzie na pierwszem piętrze stało dla niéj przygotowane wytworne pomieszkanie o pięciu pokojach. Wszedłszy na woskowaną posadzkę, ujrzała w buduorze na prześlicznéj gotowalni leżące gotowe suknie, z ciężkich jedwabnych materyi. Usłużna kameryera pojawiła się tylnemi drzwiami i prosiła „panią" usiąść, aby ją według najświeższéj mody ufryzować.

Za kilka godzin wyjeżdżała Judyta, śliczna jak bogini, w bogatéj karecie na spacer, a ludzie ujrzawszy ją, porozdziawiali gęby i gadali sobie coś do ucha, pokazując palcami na karatę....

Gdy się Albin o tem dowiedział, wypadł jak wściekły na ulicę. Obawiać się należało, że się rzuci na karetę i na młodego bankiera i wszystko w drobne drzazgi podruzgoce! Ale tak się nie stało. Widok Judyty, karety i młodego bankiera z gukierem w oku niespodziewane na nim zrobił wrażenie. Stanął jak wryty, jego pulsa nagle bić przestały. Bladł coraz więcéj, aż stał się białym, jak ściana. Potem odetchnął głęboko i pełną gębą plunął za odjeżdżającą karetą; sam zaś odszedł najspokojniéj w świecie, przeszedł się kilka razy po promenadzie i ztamtąd, jak zwykle, poszedł „pod strzelca" na szklankę piwa. Do domu przyszedł jeszcze przed „czapczykiem," co obie ciocie mocno zdziwiło, rozebrał się jak najsystematyczniéj, a przykrywszy się na głowę, chrapał przez noc całą najspokojniejszym snem sprawiedliwego.

Ofiara biednéj sieroty odniosła pożądany skutek, — Albin był uratowany.

(Ciąg dalszy nastąpi).

JASEŁKA.

Wyciąg z pamiętników Ktosia spisany przez J. I. Kraszewskiego, 4 tomy. Nakład Leona Idzikowskiego. Kijów, 1862 r.

Jednem z osobliwszych zjawisk psychicznych jest bez zaprzeczenia pisarski talent p. Kraszewskiego. Po wydaniu przeszło półtorasta tomów, po strawieniu tylu lat w ciągłéj pracy w literackim zawodzie, wtenczas właśnie, gdy sądzimy, że się już wyczerpał, że już nic nowego nie stworzy, on wiecznie świeży, wiecznie młody,

rozkrywa przed nami coraz szerszą widownią ludzkiego życia, studiując je w coraz nowych i bardziéj zajmujących objawach. Zaiste godną jest podziwienia owa nienaśladowana łatwość i swoboda, z jaką autor ten przelewa na papier swe pomysły pełne młodzieńczéj siły i ognia, a nadewszystko owa głęboka znajomość ludzkiego serca, którą posługuje się w mistrzowskiém ugrupowaniu osób i wypadków, dowodzących swym rozwojem odwiecznéj kollizyi ideałów z najpowszedniejszą prozą życia, a temsamem téj prawdy, że nie tu ostateczny kres naszéj wędrówki, że życie jest tylko walką a świat polem boju, jak się trafnie wyraził jeden z naszych pisarzy. Ta prawda mogłaby służyć za dewizę dla wszystkich utworów p. Kraszewskiego, którym jak każdemu ludzkiemu dziełu, jeżeli to i owo zarzuciéby można, to trudno wszakże w samych nawet usterkach nie przyznać znakomitego talentu i wysokich przymiotów sztukmistrza, którego właśnie głównem jest zadaniem obudzić swym utworem interes i utrzymać go w jednakowéj mocy od początku do końca,

Powieść stanowiąca treść niniejszego sprawozdania, znajomi nas na początku z hrabiów Górów rodziną, co z Wielkopolski przeniósłszy się na Litwę, obrała tam stałe dla siebie siedlisko. Dziedzice imienia i mienia téj rodziny Herman i Rajmund, dwaj rodzeni bracia, mieszkali: pierwszy w małoznaczącym zakącie, oddzielającym Wołyń od Pińszczyzny, drugi na Wołyniu w okolicach Łucka i Dubna. Charakter Hermana daje się poznać z następujących zarysów: Syn rodziców, którzy dla wytrwania na stanowisku, na jakiem ich imie stawiło, znacznie nadszargali swój majątek, zawczasu napatrzył się on na walkę próżności z niedostatkiem. Komedya ta obudziła w nim wstręt i ohydę, postanowił przeto czynnie i śmiało wziąć się do życia; ale widząc jak boli upadek, co kosztuje fałsz — całą nadzieję położył w dostatku, i życie całe poświęcił dla jego zdobycia. Wychowany na swój czas starannie, nie bez talentów i zdolności, gdy go odumarli rodzice, a przyszło do podziału majątku z bratem, zostawił mu Zarubińce w pięknéj glebie wołyńskiéj położone, a sam wziął zagrzebaną w piasku Horycę, którą wszyscy uważali za lichotę. Ale czas pokazał, że Herman umiał rachować doskonale, wkrótce bowiem na świetnéj stopie postawił swe interesa. W kilka lat potém ożenił się z córką jakiegoś dorobkiewicza, pogardziwszy szczerem przywiązaniem ubogiéj panny Izabelli Morosz, gdyż jak twierdził, w życiu miłość jest przeszkodą a w małżeństwie potrzeba więcéj zimnéj krwi i rachuby, niż uczucia. Wszakże i przy tych zasadach nie był on szczęśliwym w domowem pożyciu: żona zamęczona jego despotyzmem i dziwactwy, umarła niebawem z suchot, a jedyny syn Jerzy utrzymywany po spartańsku w pińskich szkołach, przepadł gdzieś bez wieści przy pomocy panny Morosz i jednego ze swych kolegów, Tatara Azulewicza. Herman kochał to dziecię pomimo obejścia się z niem tyrańskiego, to też po wielu bezskutecznych poszukiwaniach zdziczał jeszcze bardziéj, zamknął się z kilku domownikami w Horycy, prowadząc życie nudne, skąpe, przerywane jedynie drobiazgowem staraniem o gospodarstwo, albo czytaniem książek, z których wysnuwał tylko sarkazm, szyderstwo i niewiarę. Utrzymywał on stale, że ze wszystkich żywiołów uczucie jest najniebezpieczniejszem, że na większe może narazić glupstwa, niżeli najsroższe cierpienia, zadane prawidłami zdrowego rozumu a przecież stary sługa Paweł widywał go nieraz, jak tajemnie odwiedzał izdebkę, gdzie złożone były pozostałe po Jurasiu rupiecia i wychodził ztamtąd z czerwonemi od płaczu oczyma. Herman widocznie chciał się pokazać gorszym, niż był w istocie. Zkądinąd prawdomowny i otwarty do zbytku, zapierał się wszelkich uczuć i szydził z nich nie litościwie, lubo ich brak mocno mu się czuć dawał w życiu.

Tymczasem Rajmund panował w Zarubińcach nie opuszczając stanowiska stosownego do swego tytułu i urodzenia. W pierwszych chwilach objęcia majątku byłby on może równie jak Herman przy pracy i oszczędności wyszedł z długów ciążących na jego dobrach, ale on rozpoczął odrazu na wielką skalę, nie wchodząc głęboko w stan swoich interesów. Nadto od czasu znajomości z jednym ze swych sąsiadów, z którego córką wkrótce się ożenił, zaraził się od niego namiętnością gospodarczą, ale wcale inaczéj tę chorobę obrócił, bo gdy ów sąsiad trzymając się staréj rutyny, zastósowywał ją tylko pilniéj i dokładniéj, Rajmund chcąc go przesadzić, rzucił się w gospodarstwo poprawne i ulepszone, odczytał kilka książek w téj materyi, przekonał się, że ma geniusz do wynalazków i jął się najfantastyczniejszych innowacyj. Zajęty budową projektów i rozmaitych machin gospodarczych, które prócz wydatków, nie przynosiły innego skutku, zaniedbał majątkowe interesy i szybkiem krokiem dążył do ruiny zupełnéj. Co do jego żony, to ta choć mniéj daleko o sobie trzymała, więcéj wszakże wartą była od męża. Dał jéj wprawdzie hrabia piękne imie, ale też zarazem złoconą niewolę, którą wkrótce poczuła dotkliwie. Musiała ona przyjąć jego obyczaje i zastosować się do idei często-kroć jéj przeciwnych, skromność swą ubrać w powagę, która ją uciskała, wyrzec się swobody, zostać poddanką, niewolnicą. Nigdy straszniejszego, choć łagodnego na oko, tyrana nie było na świecie nad Rajmunda. Nie był on ani popędliwym, ani gniewnym, ani srogim, tylko żelaźnie upartym. Wolę swą spełniał nie zważając na nic, nie pojmując, by się jéj mógł kto sprzeciwić, nie rozumiejąc poświęcenia, choćby przelotnéj fantazyi dla czyjego uczucia lub boleści. Ta niezłomna tyrania tem była cięższą, że nie miała form ostrych, że była oblećzona pozorną łagodnością, zimną krwią i odbywała się z wyższością, nie dozwalającą przystępu słowu, zamrażającą wszelki wybuch uczucia. Rajmund nie przyjmował rady od nikogo i z wolą niepokonaną szedł raz wytkniętą drogą. Żona więc od wszystkiego odsunięta, uczuła się prawdziwie szczęśliwą, kiedy Pan Bóg obdarzył ją córką, nieodstępną jéj towarzyszką, która kończyła lat ośmnaście w chwili zaczęcia téj powieści.

Owóż to dwa różne charaktery rodzonych a przecież tak niepodobnych do siebie braci, dwa przeciwległe bieguny egoizmu, stykające się z sobą w swym ostatecznym rozwoju. Herman wyszedł z zasady zimnéj rachuby, odrzucając to wszystko, cokolwiek nie daje się pod nią podciągnąć; Rajmund przeciwnie, utonął w dziwacznych marzeniach nie pomny wcale na rzeczywistość. Obaj chcąc sobie tylko dogodzić, wpadli w dwie ostateczności a żaden z nich nie znalazł tego błogosławionego środka, który gdy przekraczając sądzim, że się wznosimy wyżéj, schodzimy nieznacznie na drugą pochyłość.

Opamiętanie, lubo częstokroć zapóźne, następuje

zwykle u samego kresu téj drogi. Tak też właśnie stało się z Hermanem. Znudzony kilkunastoletniem osamotnieniem, zziębły w lodowéj atmosferze egoizmu, uczuł on gwałtowną potrzebę zapełnienia próżni w swém życiu, które jakkolwiek mądrze i logicznie prowadzone, poczynało mu ciężyć nieznośnie. Pochwyciwszy jakąś wiadomość o zbiegłym synie, wybrał się w drogę do Pińska ku wielkiemu podziwieniu domowników, widzących w téj podróży jakiś wybryk nienaturalny. W Pińsku mieszkała podówczas owa panna Morosz, która po śmierci rodziców wytrwałą pracą i zapobiegliwością przyszła do znacznego majątku, a na której właśnie ciężyło podejrzenie, iż Jurasiowi wespół z Azulewiczem ułatwiła ucieczkę. Hrabia badał ją listownie i osobiście, ofiarował jéj nawet swą rękę, byle mu tylko dopomogła w jego poszukiwaniach i została drugą matką dla Jurasia; ale ona z dumą odrzuciła jego ofiarę, i stanowczo wyparła się wszelkiego uczestnictwa w téj sprawie. Już strapiony ojciec miał z niczem odjechać, aż oto traf niespodziany pokrzepił go nową nadzieją. W chwili gdy się zabierał do odjazdu, wsunął się do gospody znakomity opój p. Piotr Mąkiewicz, zbierający składkę na buty, wszakże — jak powiadał — nie dla swojéj bezpośredniéj korzyści, jedno dla idei, że szlachcic i przytem były urzędnik nie może chodzić bez butów. Udarowany dwoma złotemi i utraktowany kilku kieliszkami wódki, oświecił Hermana, że syn jego z jakimś Tatarem, Azulewicza znajomym, który co roku przypędzał tabun koni do Berdyczowa, zemknął do Krymu, opatrzony od panny Morosz pieniężnym na drogę zasiłkiem. Herman snadź wiedział już o tém oddawna, a opowiadanie Mąkiewicza potwierdziło tylko zasięgniętą zkądinąd wiadomość i umocniło go w powziętym zamiarze. Z Pińska bowiem udał się on na Wołyń do brata, z którym od śmierci rodziców nie miewał nawet listownych stosunków, i złożywszy w ręce bratowéj sporządzony testament, wrócił do domu, zkąd zamierzał wkrótce wyruszyć do Krymu. Ale p. Piotr Mąkiewicz ze swym serdecznym przyjacielem i towarzyszem do kufla, p. Hilarym Drychlińskim, przybyli do Horycy z wiadomością, że Jerzy zatęskniwszy za krajem, przywędrował w rodzinne strony z czumakami, że go widziano w Bałcie, a potem już przepadł bez wieści. Hrabiemu odpadła ochota do podróży, myślał wszakże o niéj i wahał się zbałamucony dziwnym tokiem téj sprawy.

W okolicy Zarubiniec mieszkał Otto Marzycki, namiętny muzyk i biegły w téj mierze znawca. Posiadał on nie wielką wioskę, służącą za port dla muzyków, których los sprowadzał w te strony. Szumne owe błyskotliwe talenty, którym dobrze na świecie, bo się sobą popisywać umieją i do popisu tylko są stworzone, nigdy prawie nie garnęły się pod strzechę Ottona, gdyż on ile kochał muzykę, tyle znowu wirtuozów, pełnych samolubstwa i zepsutych oklaskami, nie cierpiał. „Cóż mi z tego, że kto gra pięknie? — mawiał Otto — cóż on zagrać potrafi, jeżeli w nim samym gra namiętność dziwactwa, a żadna myśl wielka i święta nie mieszka? Wielki artysta musi to posiać w swéj duszy, co ma w niéj potem grać dźwiękiem. Kwiat ten nim rozkwitnie, powinien rosnąć i zielenieć wprzody.“ Zbolałe tylko i nieuznane talenty mieniały się ciągle u Ottona, talenty, które jak on sam nie lubiły popisywać się i profanować swéj sztuki lada przed kim — grające Bogu i sobie. Trafiło się jednak, iż Maks Fermer wiolenczelista ze swym akompaniatorem Jankiem Zbojem przybyli pewnego razu do Ottona. Maks Fermer, jak to łatwo było z pierwszego rzutu oka zauważać, należał do rzędu długowłosych wirtuozów, których trocha łatwości i sprytu a wczesne w czternastym lub piętnastym roku oklaski psują i usposabiają na kuglarzy. Dawał on juz od lat kilku koncerty po większych i mniejszych miastach, już zbierał wieńce wawrzynów, już miał pełen pugilares gazeciarskich pochwał a album pełne wierszy i sonetów zaczynających się od: M i s t r z u k t ó r y ś, a kończących na n i e z r ó w n a n y, bozki! W tém wszystkiém było wiele o kraju, narodzie, sztuce, geniuszu, ale sensu mało. Maks Fermer nie uczył się muzyki, nie umiał jéj wcale, grał tylko swoje kompozycye z nadrobionem uczuciem i kuglarstwem, nienawidząc triów, kwartetów itp. sztuk wymagających głębszéj znajomości rzeczy. Jak grał, to grał, ale za to śmiało wynijść, skłonić się; świat traktował z góry z tą pewnością siebie, która zawsze zwycięża. Jakoż od razu okrzyczany został od tego rodzaju znawców, dla jakich dość tylko, aby nie było sensu, a będzie geniusz.

Otóż to dwa wręcz przeciwne sobie typy muzyków: jeden miłujący całem sercem swą sztukę, pojmujący całą jéj wielkość i świętość, drugi zimny, powierzchowny o tyle tylko do niéj przywiązany, o ile z niéj zysku wyciąga i gotowy w każdym razie zamienić ją na jakiebądź, byle donioślejsze, rzemiosło. Niestety! jakież mnóstwo Maksów, jak nie wiele Ottonów pomiędzy nami.

Fermer po kilku niefortunnych artystycznych wycieczkach rachował jeszcze na koncert w tych okolicach. Jakoż poznawszy się z faworytem Rajmunda i wykonawcą jego mechanicznych projektów, Malczakiem, zyskał protekcyą hrabiego i wkrótce w jego pałacu dał świetny koncert, w którym figurowała nadewszystko fantazya kompozycyi koncercisty z tematu: W l a z ł k o t e k n a p ł o t e k. Lecz właśnie w chwili, kiedy audytoryat był w zenicie zachwytu, zaturkotało przed gankiem i Herman wszedł do salonu. Na jego widok akompaniator Janko Zbój zerwał się od fortepianu, zasłonił twarz chustką i szybko wybiegł przez drzwi ogrodowe. Okazało się, że to był właśnie syn Hermana, Jerzy, co przy pomocy panny Morosz i Azulewicza zemknął z ojcowskiego domu. Gdy wybiegł z sali, Otto skrył go w swéj pasiece w odludnym dworku, a ojciec tymczasem rozsyłał za nim na wszystkie strony, prosił, błagał i przepłacał, aby goodszukano, przyrzekając, że mu wszystko przebaczy, że mu da zupełną swobodę, że chce tylko być z nim i patrzyć na niego. Wreszcie ojciec odzyskał syna, ale stracił życie, tknięty apoplexyą w skutek nadzwyczajnego wzruszenia i znużenia, a bratowa w tem zamieszaniu zapomniała na wieki o złożonym w jéj ręku testamencie, który wydziedziczając syna, przekazywał cały majątek bratu. Potem już przypomniała sobie rozpaczliwe ruchy konającego, co widocznie domagał się zmodyfikowania tego zapisu, ale było już za późno. Rajmund pomimo błagań żony, zagarnął wszystko w swe ręce, o czem dowiedziawszy się panna Morosz, obaliła drogą prawną ów testament, lecz Jerzy zrzekł się dobrowolnie całego majątku na rzecz stryja, pożyczył u proboszcza małą sumkę i udał się do Ottona, zamierzając wziąść od niego w dzierżawę kilkadziesiąt morgów pola.

Tymczasem Maks Fermer, który podczas koncertu

w pałacu Rajmunda wpadł w oko staréj i bogatéj wdowie, wkrótce się z nią ożenił, porzucił wiolonczellę, ostrzygł długie włosy i zapuściwszy natomiast szumiaste wąsy, zszedł z typu artysty na typ obywatela i pół panka. Spotykając Jerzego u Ottona, zaciągnął go do siebie a potem w sąsiedztwo, gdzie młody hrabia poznał pannę Anetę, co od razu parol na niego zagięła. Jerzy, który czuł prawdziwe przywiązanie do swéj stryjecznéj siostry Loli i nawet tajemnie zamieniał z nią pierścionki, nie wiele zwracał na to uwagi. Ale Rajmund stanowczo odmówił mu córki. Lola zachorowała. W tymże czasie panna Morosz, już zgrzybiała staruszka, odkupiła za wielką cenę od Rajmunda majątek jego brata i zamieszkała w nim wraz z Jerzym, jako synem jéj przysposobionym. Gdy Jerzy nie mógł już tak często odwiedzać stryjowstwo z powodu znacznego oddalenia, zrozpaczona Lola prosiła go listownie o kilka słów pociechy. Młody hrabia odpisał w najczulszych wyrazach, a dostawienia téj odpowiedzi podjął się Rejentowicz Lacyna, stary domownik jego ojca. Lecz Fermer w zmowie z Anetą, upoił Lacynę na noclegu, wybadał zeń cel podróży i skradł odpowiedź Jerzego. — Lacyna obwiesił się nazajutrz ze wstydu, bilecik dostał się w ręce Anety. Lola umarła. Po niejakim czasie Jerzy z Ottonem, odwiedzając groby swych kochanek, spotkali Anetę modlącą się niby na mogile Loli, w rzeczy zaś saméj pragnącą odnowić stósunki z młodym hrabią, o którym słyszała, że często przebywa na cmentarzu. Temi i wielu innemi sposobami potrafiła wreszcie obałamucić Jerzego, lecz ten właśnie w wilią ślubu znalazł u niéj przypadkiem ów bilecik skradziony Lacynie na noclegu. Domyślił się więc całéj kabały, przeklął w rozpaczy niecną intrygantkę i wraz z Ottonem przepadł gdzieś bez wieści.

Widzimy tu znowu dwa rodzaje miłości w osobach Loli i Anety: pierwsza spokojna, ale głęboka, poświęcająca się dla ukochanego przedmiotu; druga burzliwa i namiętna, gotowa wszystko poświęcić dla siebie. Owóż i cała treść powieści p. Kraszewskiego, niewyszukana, prosta, a przecież tak zajmująca, tak pełna życia i prawdy. Jest-to bowiem jeden z najcelniejszych może przymiotów tego pisarza, iż najpowszedniejsze rzeczy nabierają pod piórem jego nowego wdzięku i kolorytu, że we wszystkiem umie dopatrzeć nowéj strony i potylekroć już traktowane przedmioty przedstawić w nowych sytuacyach. Winienem jeszcze wyrazić wdzięczność p. Kraszewskiemu, że myśl o wprowadzeniu muzykalnego żywiołu do powieści, przejawioną początkowo w Jedynaku i kilku drobniejszych powiastkach moich, raczył łaskawie podjąć i potęgą swego talentu nadać jéj prawo obywatelstwa w powieściowym dziale naszéj literatury. —

Kijów w Sierpniu 1862. And. Janowicz.

Rozmaite wiadomości.

Wiedeń w Wrześniu 1862.

Piśmiennictwo Kroatów.

Co w ogólnym nad literaturą jugosłowiańską powiedziano przeglądzie, zwłaszcza o Kroatach, należałoby teraz powtórzyć; lecz unikając powtarzania, tyle dodajemy, iż najpierwéj reformacya, a potem dopiero powstanie polskie w r. 1830 obudziło ich z długiego snu, chociaż już od r. 1820 nieśmiałe widać u nich zjawiska, zwłaszcza w skutek częstego ścierania się z Madziarami wynikające. Do ostatecznego wskrzeszenia ducha, języka narodowego i całego piśmiennictwa przyczynił się najwięcéj przedsiębiorczy Dr. Ludwik Gaj w Zagrzebie, który nabywszy drukarnią, ustaliwszy ortografią i otoczywszy się młodemi a gorliwemi ludźmi, począł wydawać swą Danicę, którą pracami właśnie ci młodzieńce zasilali i do któréj nawet późniejszy ban kroacki Jellaczicz, jako pułkownik, powieści pisywał. Jellaczicz był tedy patryotą i tym okolicznościom przypisać należy jego wyniesienie do godności bana. Kolowrat, c. k. minister spr. wewn., sprzyjał czynnościom Gaja i wspierał go czynnie. — Może nie zawadzi przypomnieć jeszcze to, iż południowi Słowianie, używający w piśmie liter łacińskich, zowią się pospolicie Ilirami, a używający cyrylicy zowią się Serbami; język zaś obu stron ten sam. Ztąd pochodzi, iż Horwaci wcielili w swą literaturę illirską wszystkich pisarzy dubrownickich, o których wyżéj mówiono, uważając siebie za dalszy ciąg i stanęli silnie tak, że teraz wszystkie szkoły i umiejętności w narodowym wykładać mogą języku, mając znaczny zapas różnych dzieł umiejętnych, równie jak ludzi, trudniących się umiejętnościami. — Uniwersytet zagrzebski, o który się usilnie starają, stałby się świecznikiem południowych Słowian i podołałby zjednoczyć wkońcu wszystkie uroszczenia powiatowszczyzn, a może i Serbów, do porzucenia cyrylicy w piśmiennictwie nakłonić.

I. Poeci: Ant. Kanižlicz pisał: ś. Rozalia ponarmitańska i kamień prawy, krom inszych; Mac. P. Katanczicz, oprócz dzieł kościelnych, wydał poezye i pieśni narodowe; Józ. Ant. tłómacz contemptus mundi Innocentego III; Jan Velikanowicz tłómaczył z włoskiego dwa poemata: ś. Zuzanna, męczennica, i ś. Teresa. Mich. Mahaljewicz pisał elegije; Ant. Michanowicz ma mieć wrękopisie sławny poemat, chorwackie epos: Syrene; Stef. Benesicz pieśni ilirskie; Ig. Berlicz tłómaczył rękopis królodworski, oraz insze poezye z niemieckiego; Bartł. Betera, właściwie Dubrowniczanin, znakomity wieszcz, pisał: Oronta z Cypru. Marek Bogowicz pisał: Ljubice, Smilje i Kovilje; Marek Bruczewicz i Ig. Cziwicz pisali pieśni różne; Mik. Dimitricz tłómaczył siedm psalmów Dawidowych; Józ. Higja ody Horacego; Łuk. Ilicz zebrał pieśni ilirskie i obyczaje narodowe w 3ch poszytach; Stef. Iwiczewicz różne pisma i poezye; Józ. Jellaczicz powieści; Piotr Kanawdicz różne poezye, pomiędzy któremi: Ivan Sobijeski, hralj poljski i oslobóditelj Becza. Adolf Weber — Tkalczewicz — tłómaczył Pana Podstolego Ig. Krasickiego; Ig. Kristianowicz bajki Ezopa i wiele duchownych ksiąg i książek do modlenia; Jan Kukuljewicz — Sakciński zbieracz pieśni chorwackich i powieściopisarz. Jan Macun wydał kwiaty południowo-słowiańskie; Jan Mażuranicz dorobił także 14 i 15 pieśń do Osmanidy Gundulicza; Ant. Nemczicz pisał powieści; Puczicz pisał powieści; wydał antologiją; P. Peradowicz; R. Razlag i P. Stoos pisali różne poezye. Wspomnieć musimy, iż powieści Schmida dla dzieci, jak np. Genowefa itp. posiadają Kroaci nieomal wszystkie w tłómaczeniach. Jan Trnski wydał pieśni, również tłómacz rękopisu królodworskiego; Ogniosł. Utieszenowicz — Ostrożinski zbiór lirycznych, oraz epicznych pieśni; Wład. Vežicz: wieniec powieści z francuzkiego, włoskiego i hiszpańskiego; Stanko — Stanisław Vraz, rodem ze Styryi, zebrał pieśni styryjskie, kraińskie i karantyjskie, krom tego wydał kilka tomów swych pieśni, † 1851 w Zagrzebie, wielce uzdolniony wieszcz; Lud. Vukatinowicz — Tarkosz — obok Vraza, Mażuranicza i Demetra, wszyscy towarzysze Gaja, najlepszy z tegoczesnych poetów, pisał powieści i poezye rozmaite; Piotr hr. Zrinjski: adzianskoga mora Sirena — Obseda Si-

getska — Iridni ostavljenoj — żalost Orfeusza za Euridice — Orfeusz Plutonu za Euridice — epigramata; Ant. Kazali tłómaczył Iliadę Homera. Otóż to dawniejsi i dzisiejsi poeci.

II. Dramatycy: Marek Bogowicz pisał: Frangopan w 5 akt., ostatni król bośniacki; Mateusz Gubec; Tytus Brezowaczki wydał dwa dramata: ś. Alexy i Maciéj Grabanczjasz; Piotr Bunicz: stranoljubje Cernogorca — Bolje promiszljeno, nego namiszljeno — Muhamed II w Bośni; Dimitri Demeter, Dr. med. próby dramatyczne, część I., cz. II zawiera trajedye narodowe, z żyjących najlepszy dramatyk; Józ. Freudenreich pisał: Graniczari i Crna kraljica; Jan Kukuljewicz — Sakciński: Juran i Zofia, Stjepho Szubicz, i insze sztuki, wydał także powieści i przypowieści, jak to już wyżéj powiedziano; M. Jerzy Szpor: Kastryot Skenderbeg, Edip z greckiego, krom innych; Użazewicz Jakób — Jan Mażuranicz właściwie — tłómaczył: Gryzeldę Halma, Hernani, Angelo tiran od do Padove; Spiro Dimitrowicz: Ruslan i Ludmilla z Puszkina, poemat; Półtava, także z Puszkina; Wilhelm Tell z Schillera, Eugenio Onjegin z Puszkina, Juliusz Cezar z Sheakespiera. Dla dramatycznych tłómaczeń umieściliśmy go tutaj. Krom tego wydano: Zbiór dramatów ilirskich w 10 poszytach w r. 1841—42.

III. Historycy. Ta część literatury mało jest uprawioną, co zaś ztąd pochodzić może, ponieważ dzieje Kroacyi, Sławonii, a poniekąd i Dalmacyi, traktowane bywają w historyi węgierskiéj. Adam Filipowicz napisał kilka żywotów mężów zasłużonych; Baltazar Kierczelicz, o reformacyi przy opisaniu książek za niéj wyszłych; Paweł Vitezowicz — Ritter — szczególny opiekun reformacyi i języka narodowego, wydał kronikę; Ant. Nagj tłómaczył historyą Napoleona I. z niemieckiego; An. Berlicz, pisząc o literaturze ilirskiéj, wchodzi w historyą; Mik. Juriszicz o obronie grodu Kisegskiego przeciw Turkom. Ant. Kuzmanicz, tłóm. z włoskiego historyą od narodz. Chryst. Pana aż do upadku ces. greckiego w r. 1452.

IV. Gramatykarze oraz Słownikarze: M. A. Relkowicz nową sławońsko-niemiecką gr. oraz słownik; F. Angelicz; P. M. Lenasowicz; Paweł Witmowicz i słownik; Jerzy Habdelicz gram. i słow. łacińsko-kroacki; Jan Bielostjenec; Jambreszicz Andrz. o ortografii, wydał gram. i słow. ilir. niemiec. węgierski; Sent Martony i Fr. Kornig dla Niemców gram.; A. Mihanowicz rozprawy o powinowactwie języków słowiańskich; Dr. Jerzy Augustinowicz o ortografii; Wiehosław Babuhicz, prof. wydał bardzo dobrą gram., którą na niemieckie i włoskie przełożono; Andr. Berlicz gr. dla Niemców; Józ. Drobnicz słownik ilir. niemiec.-włoski; Radowan Frölich — Veselicz — gram. i słownik niemiec.-ilirski, oraz ilir.-niem.; Jan Macun gram. języka greckiego; Filip Kunicz gr. języka łacińskiego; Jan Kaznaczicz pisał gram. ilirską i o pismach Słowian południowych.

V. Różne umiejętności: Karól Pawicz krom historycznych rzeczy, pisał matematykę: Dr. Jerzy Augustinowicz ilirską terminologią anatomii; Dawid Imbrih kilka tomów o prawach węgierskich: Józef Ettinger zoologią kroacką; Ludwik Gaj różne rozprawy umiejętne, sam wspominał, iż pracuje od dawna nad dokładną historyą illirską: Fr. Jukicz, bośniak, jeografią Bośnii, wydawał Czasopis i zebrał pieśni bośniackie oraz hercegowińskie: Ig. Katkicz jeografią: Dr. Jan Kiseljak tłómaczył Baumgartnera Fizykę i wydał Botanikę: Jan Kukuljewicz Sakciński wydał bibliografii jugosłowiańskiéj część I kroacką w Zagrzebie r. 1860, zapisał w niéj 2605 książek różnemi czasami w Ilyryi wydanych. Jest to raczéj katalog bibliograficzny bez wszelakiéj krytyki, połączony z bardzo małemi uwagami nad życiem i stanem autorów: Fr. Kurelac rozprawy różne: Szymon Ljubicz zwyczaje i obyczaje Morlaków dalmatyńskich: Marcin Matunci matematykę i fizykę: Ant. Mażuranicz przegląd dawnéj literatury horwackiéj i wiele książek dla gimnazyi: Mat. Mesicz jeografią i insze książki dla szkół: Fr. Mocznik, arytmetykę, algiebrę i matematykę dla szkół: Winc. Pacel o naukach przyrodniczych dla gimnazyj: Józef Partasz, okrom inszych, o pszczelnictwie: Seljan Dragutin o literaturze ilirskiéj: Szlosser i Vukatinowicz Florę kroacką: Bogusł. Szulek wiele książek gimnazyalnych: Alexy Vancasz weterynerыą wraz z hodowlą swojskich zwierząt; Adolf Tkalczewicz — Weber — wydał wiele książek gimnaz. i tłómaczył klassyków łacińskich.

VI. Teologiczni pisarze, których liczba bardzo znaczna, a z których jedynie kilkunastu tutaj wyliczymy, opuszczając dla braku miejsca resztę. Gałąź ta umiejętności pilnie uprawiana, okazuje gorliwość duchowieństwa ilirskiego w oświecaniu ludu sobie powierzonego. Jan Marewicz tłómaczył żywoty śś. i wydał w 3 tomach: Fr. Bandulowicz: Józ. Banowac: Józef Bedekowicz: Adam Blagoewicz: P. Bogaszinowicz: Szymon Budineo: Atan. Gergiczewicz: Ig. Gjorgjicz: Ant. Iwanoszicz: Ant Kaniżlicz: Bartł. Kaszicz tłómaczył, prócz innych dzieł teologicznych, psalmy Dawidowe, jest to Dubrowniczanin, o którym patrz wyżéj: Macz. Katanczicz, tłómacz pisma ś.: Piotr i Ant. Kneżewicze: Ign Kristianowicz: Filip Lustricz, bośniak: Tom. Miklosicz: Jerzy Mulik: Emeryk i Karól Pawicz: Jan Pawlowicz-Luczicz: Jan Velikanowicz niezmordowany pisarz: pisali oni dzieła teologiczne, budujące, różne rozprawy, kazania, żywoty, erekcye kościołów i książki do modlenia w języku narodowym.

Poznań. Do tutejszego archiwum grodzkiego pozyskano niedawno temu kilkadziesiąt ciekawych dyplomatów, pomiędzy któremi jeden z r. 1153 (?), dotyczący erekcyi klasztoru w Łeknie z pieczęcią Jana (herbu Gryf), arcybiskupa gnieźnieńskiego (archiepiscopi Poloniae!). O drugim takim dokumencie (zapewnie kopii pierwszego), jednakże pieczęci pozbawionym, wspomina prof. Helcel, nadmieniając, iż naumyślnie dla niego zjeżdżał do Poznania. Posiadał go wtedy p. J. Łukaszewicz, ówczesny konserwator Bibl. Raczyńskich, powierzony mu od ostatniego opata konwentu Wągrowieckiego, ale na kilkakrotne wezwanie ks. kanonika Zientkiewicza oddał go do archiwum Konsystorza Gnieźnieńskiego, gdzie się zapewne dotąd znajduje. W Bibliotece Raczyńskich pozostało tylko zakwitowanie z oddania tego dokumentu do archiwum gnieźnieńskiego, jako też obszerna z tego powodu korespondencya pomiędzy p. Łukaszewiczem i ks. Zientkiewiczem.

— Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego w Poznaniu wyszły: Pisma pedagogiczne Ewar. Estkowskiego.

UWIADOMIENIE. — *Przy zbliżającym się czwartym kwartale wzywamy Szanowną Publiczność do wczesnej prenumeraty, której warunki na czele naszego pisma są wyrażone, nadmieniając, iż w przyszłości, z powodu reformy szkół w Królestwie i ogólnéj u nas dążności oświecania ludu, więcéj niż dotąd zajmować się będziemy w naszem pismie kwestyami pedagogicznemi, a mianowicie dołączać co miesiąc jedno-arkuszowy dodatek, wyłącznie szkołom elementarnym i literaturze ludowéj poświęcony, który jednakże dopiero z początkiem przyszłego roku osobno będzie można prenumerować.*

Redaktor i nakładca Dr. Kaźmierz Szulc przy ulicy Fryderykowskiéj Nr. 19. — Czcionkami A. Poplińskiego w Poznaniu.